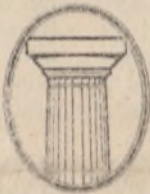


TREŚĆ: MELCHIOR WAŃKOWICZ: O Kazimierzu Wyszyńskim * M. JASNORZEWSKA-PAWLIKOWSKA: Zawód w miłości * K. IRZYKOWSKI: Noli jurare, Domine Przyboś, in verba Peiperi * A. SCHORR: Dysonans kultury * A. CHOROWICZOWA: Międzynarod. rynek tłumaczeń w r. 1933



J. SZANAJCA: Śródmieście Warszawy * K. GÓRSKI: „Nie nauką — prędko gnije” * E. SZELBURG-ZAREMBINA: Aleksander * L. PIWIŃSKI: Ex libris * R. INGARDEN: VIII Międzynarod. Kongres Filozoficzny * T. TERLECKI, B. KORZENIEWSKI: Teatr * W. SEBYŁA: Przekłady * Kronika.

O KAZIMIERZU WYSZYŃSKIM

3 stycznia zmarł w Berlinie radca ambasady, Kazimierz Wyszyński. Dla tych, co go znali, zmarł nie człowiek noszący ten lub inny tytuł, mający odpowiedzialność własną za taką a nie inną robotę na danym etapie życia. Zmarł — Kazik Wyszyński. Taki, jakim go znaleźliśmy od piątej klasy gimnazjum, w której zaczął życie organizacyjne. Zmarł, mając lat czterdzieści cztery. Trzydzieści lat pracy, i pracy w takich latach i w takiej epoce. Z dziecięcimi siłami naprzód, z przedniepodległościowym zmaganiami się potem, z więzieniem przed wojną, z obozami w Szczypiornie w czasie wojny, ze stanięciem twarzy w twarz w walce przy traktacie ryskim o przysze, na epokę już całą, granice Ojczyzny, z pięcioleciem pracy w Moskwie, z siedmiolateczną pracą w Berlinie — tam, gdzie najciężej.

Ludzie są zaskoczeni, że serce nie wytrzymało. Że... nagłe.

Kiedy go niema, powiedzmy sobie o tem sercu. I przypomni sobie każdy z nas niezliczone chwile w życiu, kiedy był świadkiem, jak serce to było wzmocnionym tempem.

Jesień 1910 r. Mieszkanie w Alejach Jerolimskich. Podniecone sztabackie zebrań. Kazik, jako akademik pierwszego roku, dokonywa „zamachu stanu”. Ogłasza, że „Stara Dyrekcja” nie będzie szanowała *Treuga Dei* w konspiracjach uczniowskich, które, ze względu na dobro akcji bojkowej, postanowiły nie przeprowadzać rozłamu.

Jakże śmiesznie, jak opowieść z Coopera, brzmiała w Polsce-mocarstwie opowiadanie o „zamachu stanu” w światku uczniów szkół średnich, w mieszkaniu na Jerolimskiej.

Jakże ciężko, jak tragicznie było wówczas serce młodego zamachowca. Kończył się, w ostatnich swoich odgłaznieniach, ostateczny akt wielkiego przepalania się duchów w epoce przedniepodległościowej. Kra, która ruszyła po 1905, krusząc dotychczasowe formy ideologiczne, która polamała naprzód Ligę Narodową, stwarzając scesę i frontę, potem organizacje akademickie, teraz ruszała na najmniejszych młodzieżowych strumyczkach.

Po tych strumyczkach prąd był regulowany przemyślnie od lat. Był to już piąty rok szkoły polskiej, a przeciw programy kół i podkół mocno jeszcze zalatywały samokształceniem. A w wyższych klasach Libelt i Szczepanowski. I karność i posłuch. I kult dla „nowoczesnej” szkoły myślenia politycznego.

Dawniej — były dwa stopnie konspiracyjne w organizacjach uczniowskich, trzy w akademickich i ileś tam wśród „starszego społeczeństwa”. Mądrość postanowień filtrowała się w najwyższych tygielkach i spływała na dół organizacyjne jak prawdy objawione.

Nagle... nic z tego wszystkiego nie miało być. Runęło wszystko. Był Kazik Wyszyński, kolega, który czasem od nas pożyczał koronę, czasem my od niego. I była straszna, bolesna nalbrzmiałość sprawy niepodległościowej. Gruzy ze wszystkich „szkół myślenia”. I poczucie, że trzeba tworzyć odnowa.

Ktoś napisał obecnie o Wyszyńskim. że miał serce gorące i zimną głowę. Pamiętam jego sarkastyczny uśmiech. I jego dobroć dla kolegów. Pamiętam jego bezwzględność w sądach. I jego uczynność. Pamiętam jego rozprawy z poszczególnymi rozwichrzonymi indywidualnościami; z półbożkami ze środowisk prowincjonalnych, które przyjeżdżały do Krakowa. I jego niesłychanie ujmujący sposób obojętności z każdym, sposób, któryby nazwał „demokratyzmem ideowym”. Gdy powstał problem, Kazik, przed chwilą przykry w ukła-

daniu spraw organizacyjnych, przeobrażał się całkowicie. Promieniował. Mówił z duszy w duszę. Z wypiekami na twarzy. Z tym zaufaniem do rozmówcy, z tem roztopieniem się w temacie bez reszty, które daje tylko wielkie napięcie ideowe.

Ta potencjonalna siła napięcia była stałą symptomatyczną cechą Wyszyńskiego. Mieszkaliśmy przez cały rok razem. Wielką ilość czasu poświęcał na myślenie. Nie zdarzyło mi się spotkać w życiu drugiego człowieka o tak niesamowicie wyodrębnionej w oddzielny proces funkcji myślenia. Zwykle funkcja ta idzie równomiernie z lekturą, z dyskusjami, ze słuchaniem odczytów. Powiedziałbym, że myślenie jest jak bluszcz, który musi piąć się po jakiejś osnowie. U Wyszyńskiego było ono niby samodzielna roślina. Często chodził po pokoju, twarz przybierała swoisty dla niego wyraz rysy, czoło przecinała zmarszczka. Taki wyraz musza mieć ludzie, którzy z pamięci sami ze sobą rozgrywają partje szachów. Opowiadano mi w Moskwie, że Lenin miał podobną organizację psychiczną.

Czasami ten proces wewnętrzny spalała się stanął się ponad siły ciężki. Kazik wtedy lubił otaczać się kolegami pozaorganizacyjnymi. Miał sentyment do Lubliniaków. Gorszono się, że im głupszy Lubliniak, tem większe ma u Kazia laski. Istotnie, grał z nimi w karty, gawędził. Potrzebni mu byli jak pasjans dla niektórych wielkich ludzi, jak automatyczne rysowanie esów-floresów dla leaderów, którzy własnie pilnie robią przegląd argumentów, by za chwilę wkroczyć na mównicę. We wszystkich tych wypadkach napięcie myśli jest tak wielkie, że sprawia ból fizyczny. Te zewnętrzne dystrakcje mają zmniejszać prąd asocjacji, mają osłabiać napór na korę mózgową.

Ludzie zwykle potrzebują dopingu. Kazik musiał się handicapować.

Rok temu przeglądałem roczniki wydawanej przez niego *Sprawy*. Żaluję, że jej nie mam pod ręką. Uderzyło mnie wtedy, z perspektywy dwudziestu lat i zdarzeń, które w ciągu nich zaszły, to rozgospodarowanie się w Niepodległości, która dla tego człowieka nie była ani marzeniem, ani dyskusją, ani omal stanem emocjonalnym; która była dla niego przedmiotem codziennych pracowań ideologicznych, tą szachownicą, na której rozgrywał codzienne samotne partje szachów. Myślę, że wówczas tak się do szachownicy w codziennej praktyce przywyka, jak do powietrza, jak do

najprostszyc form otaczającego świata — przestaje się je spostrzegać.

Stąd zrozumiałe są nasze spory z Zarzewiakami, o których prezes Helezyński nad trumną Wyszyńskiego wspominał, oddając hold hylemu przeciwnikowi. Dla nich Niepodległość była celem, poza który nie chcieli wybiegać; dla nas była środkiem, za pomocą którego chcemy osiągnąć założenia ideologiczne. Oni wciąż się cieszyli zdobytą szachownicą. Kazik dawno rozgrywał na niej swoje samotne partje.

Nad grobem zmarłego, kolega jego i podwładny w służbie dyplomatycznej, Jan Wszelaki, podzielił się ze słuchaczami wiadomością o niektórych pięknych rozwiązaniach, jakich autorem był Wyszyński w owej samotnej grze bez partnerów.

Kiedy cała Europa oczekiwała wylania się rewolucji z granic Rosji, kiedy stworzono bardzo popularną w swoim czasie koncepcję o sile dogmatu, że rewolucja w permanencji istnieć nie potrafi, że musi, jak ogień, trawić coraz nowe obszary, lub wygasnąć — Wyszyński z niewzruszoną pewnością, już w 1923 przepowiadał zajęcie się Rosji swemi wewnętrznymi sprawami na długie lata, wskazywał na wielkie możliwości nasze, o ile zrozumiemy, że nasz wschodni sąsiad jest nadewszystko zainteresowany w utrzymaniu pokoju.

Kiedy świat sugestjonował się sukcesami Scheidemanna, kiedy Reichswehra krzepła, weimarskie Niemcy otrzymały podbudówkę Hugenbergowską i junkierską, a hałaśliwi puczyści rozpędzeni zostali na cztery wiatry, kiedy mordercy kapturowe wsiąkli w piaseczek codzienny nieszkodliwych i błazeńskich pochodów z głupawym „hakenkreuzem” — jeden Wyszyński wieścił, że z tych zacynowych bezwzględnych „gauleiterów”, prowadzących „sztabdarty” młodzieży, że z wykrzykiwań ex-malarza pokojowego, wyrosnie ruch, który ujmie władzę nad Niemcami.

Pamiętam jedną rozmowę z nim w tych czasach, kiedy przewrót hitlerowski był już. Jechałem z Norwegii. Byłem struty rozmowami z ludźmi po Europie. Tak się złożyło, że tydzień przedtem byłem w Belgji, gdzie mnie traktowano nieco w stylu francuskim (*pauvre Pologne!*...). Obecnie w Lillehammer, sercu Norwegji, kiedyśmy jechali górską drogą między wspaniałymi jodlowymi lasami do siedziby Sigridy Undset, a przez błyski leśnych przegalin błyskały wody jeziora Mjosen, długiego na sto, szeroko-

kiego na jeden kilometr — niby fjord — mój towarzyszył, dyrektor agencji prasowej norweskiej, wyciągnął rękę:

— Z naszej ziemi poszedł podbój wikingowy w świat. Niemcy są nordyckiej rasy. Są oni ideałem narodu-budowniczego. Rewindykacja korytarza jest nieunikniona.

Podczas, gdy Belgowie pytali mnie, czy przez „korytarz” przeniesie kula karabinowa, w dawnych neutralnych krajach opinja była świetnie przepracowana przez propagandę niemiecką.

W Niemczech szalał Treviranus, po różnych Pilach i Opolach odbywały się antypolskie orgje. Za rządów dobrotliwego Brüninga. Za drzwiami stały szturmówki. *Nach Osten werden wir reiten!, Siegreich werden wir Polen schlagen!*...

Na grobie Hamleta w Danji — stolarz z Drezna dobrotliwie mi oświadczył, że Pommern oni kupią.

Cóż mówił radca poselstwa, tkwiący w Berlinie od lat? Najcięższego poselstwa. W którym nasi dyplomaci tak źle się czuli. Towarzystwo. Kiedy kolo nich na przyjęciach wytwarzała się mroźna luka.

Radca poselstwa skubał swoją bródkę i przeszywał mnie swoim pół drwiącem, pół rozradowanym spojrzaniem. Znałem tę minę z dawnych czasów. Poprzedzała u Kazia rozpoczynanie partji. Jako młody maturzysta, zamieszkawszy ze starszym o dwa lata akademikiem, obrażalem się straszliwie o tę drwiącą minę. I jak kogut stawałem do walki. Wreszcie któregoś dnia się wyniosłem. Kazik kpił, że wyniosłem się, bo mi „ugniatano indywidualność”.

Potem nauczyłem się, że ta drwiąca mina odnosi się nie do rozmówcy, tylko do trudności jakiegoś kombinowanego gambitu, który staje przed wyobraźnią Wyszyńskiego.

— Niemcy nas się boją — umieścił we mnie spojrzanie swoich stalowych oczu.

Poczułem napływ w sobie dawnego przedwojennego pieniactwa.

— Obawiam się, żebyśmy nie wkroczyli do Prus Wschodnich...

„Kazik zaczyna rozgrywać partję” — pomyślałem, poprawiając się w głębokim „lehnstuhl”. Wkolo pod ścianą biegła półka dębowa, a na niej patarafka i figurki typowego mieszczańskiego niemieckiego mieszkania, które z meblami wynajmowałem.

Na serwetę sztydelkową niejako, regularnie wykladał swoje racje. Przepowiadał stanowczo przyjscie Hitlera do władzy i zupełnie stanowczo twierdził, że ze strony niemieckiej nastąpią kroki pojednawcze. W ciszy nocej, bo późne godziny szły jedna za drugą, zdalo mi się, jakbym słyszał ciosy topora. To Kazik Wyszyński, majster zabiegliwy, pracował noc całą nad wykuciem ideologii rozmowy.

Nieomal nie uczestniczyłem w tym procesie. Patrzyłem, jak z kształtów jeśli nie defetystycznych, to deterministycznych wylania się rzeźba prosta, jasna, o swobodnie skomponowanych linjach. Poczułem się członkiem wielkiego narodu, z którego imieniem się liczą.

Po tę porcję optymizmu powędrowałem gdzie? Do gniazda wyjącej nienawiści, w którym mruklawy i kostyczny radca, *enfant terrible* wszystkim dyplomacji z przyległościami, targając bródkę, rozgrywał nieomylną partję.

Świt był, gdy wychodziłem. Kazik mnie odprowadzał. Miałem zadurzoną głowę całonocną rozmową i ostatniocny ruch wielkiego miasta dawał odprężenie. Na Lutherstrasse z knajpy „Eldorado”, zamkniętej w następstwie przez hitlerowców, wywalił się rój poprzebieranych za kobiety mężczyzn,

ZAWÓD W MIŁOŚCI

*Okrucieństwo Natury, ten zarzut surowy,
lecz słuszny, choć go serce z rozpazą odgania,
ten błąd wieczny, tyrański, wyrodnej urody,
niepokoi mnie nocą, aż się gwiazdy mącą,
zmieniając konstelacje w znaki zapytania.*

*I nie cieszy mnie więcej róża, winogrono,
rzcwna zieleń majowa, czy jesienne złoto.*

*Smutna jestem jak córka, której dowiedziono,
że jej matka, rodzona, kochana gorąco,
jest czarnym charakterem, okrutną istotą.*

MARIA JASNORZEWSKA-PAWLIKOWSKA

